

Z prof. dr. hab. Michałem Kleiberem,
prezesem PAN, rozmawia Danuta Ślósarska.



Produkcja bezwartościowych liderów

W ubiegłym roku ukazał się raport „Polityki” odnoszący się do stanu nauki polskiej. Nie napawa on optymizmem.

Znam jego treść, zapoznałem się również z cyklem krytycznych artykułów na ten temat, które nie tak dawno ukazały się w „Gazecie Wyborczej”. Przyznam, że nie ze wszystkimi opiniami się zgadzam.

Nieprawdliwe jest twierdzenie, że środowisko naukowców jest zdemoralizowane?

Niewątpliwie mamy z tym problem, ale jest on głębszy, niż nam się wydaje. Należy go rozpatrywać w szerszym, historycznym aspekcie. O niedostatecznym finansowaniu nauki w Polsce wiadomo od dawna i na razie nic nie wskazuje na to, że będzie lepiej. Z roku na rok rząd zmniejsza nakłady na badania naukowe. Nie starcza na utrzymanie infrastruktury, zakupy sprzętu i godziwe zarobki dla kadry naukowej. Polski uczony gania z jednego miejsca na drugie, aby dorobić – oczywiście kosztem pracy badawczej.

Chałturzy – nazwijmy to uczciwie.

Jest w tym trochę prawdy, tylko należy się zastanowić, kto jest temu winien. W ciągu ostatnich dwudziestu lat pięciokrotnie wzrosła liczba studentów, a tylko o 30 proc. kadra nauczycielska. Niewłaściwa polityka państwa spowodowała, że polscy uczeni pracują na kilku etatach, gdyż w przeciwnym razie nie miałyby kto uczyć studentów. W efekcie wielu uczonych odzwyczaiło się od aktywnej pracy badawczej.

Jak zaradzić tej patologii?

Najlepszym sposobem byłoby przyjęcie strategii stopniowego ograniczania wieloletowości w placówkach naukowych, ale niestety ten pomysł – wymagający środków na szybkie nadrobienie zaległości w zakresie przygotowywania kadry – nie znalazł właściwego odbicia w przygotowywanych projektach ustaw. Takiej sytuacji, jaka jest u nas, nie ma nigdzie na świecie. Do tego, aby wspiąć się na szczyt, potrzeba pasji i systematyczności. Należy skoncentrować się na swoim miejscu pracy, być w nim, angażować się w badania, mieć grupę badawczą, a nie myśleć o tym, że zaraz trzeba wyjechać na zajęcia do innej uczelni. Na świecie „przeżywają” tylko najlepsi.

Profesor Stec zwrócił uwagę na to, że w Polsce produkuje się publikacje, których wartość w skali światowej jest znikoma albo w ogóle jej nie ma.

Tracimy duży potencjał naukowy na publikowanie w nieważnych czasopiśmiech. Mamy zbyt dużo słabych periodyków, które odbierają ludziom chęć publikowania gdzie indziej. Są one pod ręką i przyjmują nawet to, co jest słabe merytorycznie. Zresztą czyta je niewiele osób. Moim zdaniem trzeba ograniczyć liczbę czasopism krajowych, którym nie udało się osiągnąć pozycji międzynarodowej.

Na podstawie czego należałoby oceniać naukowców?

Od dawna twierdzę, że należy oceniać projekty badawcze oraz grupy badawcze

za najwybitniejsze osiągnięcia, a nie za wszystko to, co zostało wyprodukowane. Obecny system preferuje powielanie pomysłów. Wielu naukowców ma zwyczaj tę samą publikację przerabiać na parę sposobów i prezentować ją na wielu konferencjach. Aby te praktyki nie miały miejsca, wystarczy wprowadzić zasadę, że rocznej ocenie uczonego podlegać będzie jedynie pięć ważnych osiągnięć. Proszę mi wierzyć, że nie ma możliwości, aby zrobić więcej wartościowych rzeczy. Oczywiście, jeśli naukowiec wyprodukuje 70 innych mało istotnych, to proszę bardzo, ale nie powinny być one przedmiotem jego oceny.

Duży odsetek prac naukowych jest zresztą na fatalnym poziomie. To samo dotyczy projektów badawczych, finansowanych z budżetu ministerstwa. Już na pierwszy rzut oka widać, że są słabe, ale ocena ekspertów tego nie potwierdza. Coraz trudniej w środowisku naukowców, znającym się przecież bardzo dobrze, o rzetelną krytykę.

Rozwiązanie problemu jest chyba proste?

Wystarczy sięgnąć do oceny projektów przez recenzentów zagranicznych, tylko że dla wielu naszych badaczy jest to podobno za trudne. Wniosek musi być napisany po angielsku, a z tym są kłopoty. Ale przecież można sięgnąć do pomocy polskich uczonych pracujących za granicą. W samych Stanach Zjednoczonych jest ich ładnych parę tysięcy.

cd. na str. 6 ⇨

↩ cd. ze str. 5

Oprócz produkowania publikacji produkujemy również osoby z tytułami.

Niestety, znów się z tym zgadzam. W Polsce mamy problem z wprowadzeniem tego, co umownie nazywamy etatyzacją. Powinniśmy ustalić liczbę uczonych, która w danej placówce naukowej może być zatrudniona, a nie mnożyć sztucznie stanowiska.

Mamy około 100 tys. uczonych – choć nie wiem, czy to nie za duże słowo – ale o niewielu słyszał świat.

Naukowców mamy za mało, około dwukrotnie mniej niż w innych krajach Unii Europejskiej. Choć tam znacznie więcej z nich zatrudnionych jest w laboratoriach przemysłowych. Nasz problem zaczyna się od słabej edukacji już na poziomie szkoły średniej. Młodzież jest nieprzygotowana do studiowania, ale i absolwent studiów, nawet tych najlepszych, nie ma podstaw do podjęcia pracy naukowej. Jeśli do tego dołożymy skandalicznie niskie stypendium doktoranckie, niskie uposażenie na początku pracy zawodowej, obowiązki dydaktyczne większe niż gdziekolwiek indziej i parę innych rzeczy odciągających od pracy, to efekt jest taki, że mamy uczonych słabo przygotowanych do sprostania międzynarodowej konkurencji.

Na szczęście jednak są uczeni i takie grupy badawcze w Polsce, z którymi liczą się na świecie. Tylko o nich się nie mówi. Nie tak dawno wracałem z Chin i wpadła mi w rękę chińska, anglojęzyczna, gazeta codzienna. Na jej pierwszej stronie była informacja o tym, że jeden z chińskich uczonych został prezydentem

międzynarodowej organizacji naukowej. Ja od wielu lat jestem prezydentem wielkiej, prestiżowej organizacji European Materials Forum, ale o tym oczywiście nie napisała żadna gazeta. Mówię o tym nie dlatego, żeby się uskarżać, bo jestem przyzwyczajony do tej sytuacji, ale żeby posłużyć się przykładem. O sukcesie można mówić głośno, ale można go też przemilczeć.

W rankingu uczelni na świecie tylko dwie polskie szkoły wyższe znalazły się w czwartej setce i o tym warto powiedzieć.

Szczerze mówiąc, nie przysparza nam to honoru, ale ten ranking ma swoją specyfikę. On nie jest do końca reprezentatywny, bo gdyby włączyć do dorobku uczelni doktoraty, które są robione w instytutach Polskiej Akademii Nauk, to miejsce uczelni w rankingu przesunęłoby się znacznie wyżej. Warto zauważyć, że uniwersytety, które są w czołówce tego rankingu, mają z reguły w swoich strukturach wydziały medyczne. W Polsce uczelnie medyczne są najczęściej poza uniwersytetami i to też bardzo osłabia naszą pozycję.

Jakie jest z tego wyjście?

Jestem zwolennikiem silnych uczelni. Nie widzę powodu, aby w miastach poniżej 100 tys. mieszkańców było po kilka szkół wyższych. Gdy za granicą pytają mnie o liczbę uczelni wyższych w naszym kraju, ze wstydem odpowiadam – ponad 450. W większości krajów liczba uczelni w stosunku do populacji jest czterokrotnie mniejsza niż u nas. W Niemczech jest ich 200, a w Finlandii tylko 18. Dlatego uważam, że konsolidacja liczby uczelni jest jednym z najpil-

niejszych zadań. Wystarczy 100 uczelni, ale dobrych. W obecnej sytuacji nie sposób zaspokoić wszystkich potrzeb. Środki finansowe na badania się rozmywają. Ogromne sumy przyznaje się osobom, które naukowo są już martwe.

W takim razie za co je dostają?

Już mówiliśmy – rzetelna ocena planów badawczych i osiągniętych wyników jest u nas daleka od doskonałości.

Komu nie zależy na reformie szkolnictwa wyższego: politykom czy naukowcom?

I jednym, i drugim. Politykom nie zależy, ponieważ od razu wchodzi w konflikt ze środowiskiem naukowców, a to im się nie opłaca. W Finlandii, Korei, Japonii, Singapurze czy Chinach, czyli w tych krajach, którym zazdrościmy sukcesów, byli politycy, którzy zdecydowali się postawić swoją karierę na szali i forsować projakościowe rozwiązania w edukacji i badaniach. Nam też potrzebny jest polityk, który z ogniem w oczach będzie mówił o konieczności budowania przyszłości, opartej na wiedzy i jej wykorzystaniu w praktyce. Gdy tego nie zrozumiemy, pozostaniemy krajem dalekim od naszych marzeń i aspiracji. Na razie wiele na to wskazuje, ponieważ środowisko uczonych także nie chce zmian. Akceptuje obecną sytuację.

Trudno zmienić przyzwyczajenia.

Zwłaszcza jeśli przez 20 lat pracy zawodowej zarabia się trzy całkiem przyzwoite pensje, powtarzając ten sam wykład. Namówienie takiego uczonego, aby zaczął pracować badawczo, jest niemożliwe. Tym osobom trudno zaistnieć w konkurencyjnym systemie, gdzie toczy się walka o pieniądze na granty.

Słabi zadowolają się tym, co oferuje się im na miejscu, a lepsi uciekają.

Emigracja zawodowa najlepszych badaczy jest niestety ciągle wysoka. Zbyt mało im oferujemy możliwości niezbędnych do osiągnięcia sukcesów na poziomie światowym. Z własnego doświadczenia wiem, że najlepszym sposobem na rozwój naukowy jest praca w krajach wysoko rozwiniętych. Ten model proponuję młodym, ambitnym ludziom, z zastrzeżeniem, że tam trzeba się uczyć, nabierać doświadczenia, ale potem wrócić do kraju.

My natomiast, pamiętając o tym, że w światowych rankingach wypadamy fatalnie, musimy szybko wypracować

MICHAŁ KLEIBER – prof. zw. dr hab. inż., specjalista w zakresie mechaniki i informatyki, członek rzeczywisty PAN, Prezes PAN na kadencję 2007 – 2010, Społeczny Doradca Prezydenta RP ds. badań i rozwoju, były minister nauki. Jest członkiem Austriackiej Akademii Nauk, Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk w Salzburgu, Europejskiej Akademii Nauk w Londynie, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Akademii Inżynierskiej, Rady ds. Edukacji i Badań Naukowych przy Prezydencie RP, Europejskiej Rady Nauki, Rady Programowej Polskiego Forum Strategii Lizbońskiej, Komitetu Sterującego Rady Zarządzającej Europejskiej Fundacji Nauki oraz Rady Naukowej czasopisma popularnonaukowego „Wiedza i Życie”. Pełni funkcję prezesa European Materials Forum i redaktora naczelnego czasopisma „Archives of Computational Methods in Engineering” wydawnictwa Springer. Jest członkiem rad redakcyjnych 15 czasopism naukowych o światowym zasięgu. Opublikował ponad 250 artykułów naukowych i 7 książek, poświęconych zastosowaniu technik komputerowych w badaniach naukowych, technice i medycynie. Jest laureatem nagrody naukowej przyznawanej przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej (tzw. Polski Nobel). Został odznaczony Medalem Królestwa Belgii za osiągnięcia innowacyjne. Posiada tytuł doktora honoris causa uczelni w Lublinie, Krakowie, Darmstadt, Mons oraz Londynie.

metody kształcenia młodych ludzi i stworzyć im odpowiednie warunki do pracy. Tych starych naukowców, niereformowalnych, zostawmy. Oni też są przydatni – choć nie prowadzą badań na wysokim poziomie.

Tylko że oni, zamiast tworzyć naukę, swoją energię wykorzystują na budowanie na uczelniach dynastii. W kolejce stoją już przecież członkowie rodziny.

Domagając się zmian w tym zakresie, doprowadziliśmy do tego, że w projekcie o PAN jest powołanie komisji ds. rzetelności i etyki badań naukowych. Jej członkowie będą oceniali moralną stronę badań, ze szczególnym baczeniem na wszelkie wykroczenia, mające znamiona nepotyzmu.

Od dawna też walczę o to, aby w projektach ustaw znalazł się zapis, że nie wolno w instytucjach akademickich i badawczych prowadzić „chowu wsobnego” i nie wolno zatrudniać swoich doktorantów, choćby przez 5 lat. Na razie się nie udało. Szkoda, ponieważ ta praktyka ma bardzo poważne konsekwencje dla rozwoju najważniejszej dzisiaj dla nas grupy uczonych – młodych badaczy.

Kiedyś myślałam, że naukowiec to ktoś, kto oprócz ogromnej wiedzy, ma także wysokie morale. Czas zrewidował moje poglądy.

Etos uczonego w pewnym sensie zanikł. Liczba naukowców nie trzymających standardów swej profesji jest dzisiaj zbliżona do przeciętnej w całej populacji. Dzisiejszy uczonego to po prostu pracownik sektora nauki. Przed wojną, aby dopuścić kandydata do godności profesora, gremium uczonych musiało wnikliwie ocenić stronę naukową i etyczną danej osoby. Dziś w recenzji wystarczy zamieścić regułkę: „Kandydat, według mnie, spełnia wszystkie wymagania, które są potrzebne”.

To się ma zmienić. Profesor musi być autorytetem w swojej dziedzinie naukowej, ale również wzorem osobowym dla studentów. Jeśli studenci otrzymują jedynie wiedzę, choćby gruntowną, to i tak nie będą w stanie pełnić roli prawdziwych liderów w skomplikowanym świecie dzisiejszej nauki i gospodarki.



Przecięcia wstęgę dokonał prof. Jacek Nikliński, rektor UMB.

Kosmetologia nowy kierunek studiów

– *Miejsce kosmetologii jest wyłącznie na uczelni medycznej* – powiedziała prof. dr hab. Elżbieta Skrzydlewska, dziekan Wydziału Farmaceutycznego UMB, podczas uroczystego otwarcia Samodzielnej Pracowni Kosmetologii i Samodzielnej Pracowni Medycyny Estetycznej, które odbyło się 17 listopada 2009 roku.

Kosmetologia to całkiem nowa oferta edukacyjna na polskich uczelniach wyższych. Jest odpowiedzią na wzrost zainteresowania pielęgnacją ciała i zmianami, związanymi z chorobami skóry, paznokci czy włosów. Absolwenci tego kierunku mają otwartą drogę do pracy w firmach farmaceutycznych, salonach urody, hotelach Spa czy w poradniach dermatologicznych.

Studia o tej specjalności powołano już na ośmiu uczelniach medycznych oraz w wielu szkołach wyższych niemedykownych. Nauczanie kosmetologii, bez posiadania odpowiedniej bazy laboratoryjnej, budzi jednak zdziwienie kadry naukowej UMB.

– *Kosmetologia to przecież nie to samo, co kosmetyka. To jest dziedzina*

interdyscyplinarna. Nasi studenci, oprócz wiedzy z zakresu kosmetologii pielęgnacyjnej, muszą mieć wiadomości z biologii, chemii, anatomii, histologii, fizjologii czy dermatologii – mówi dr Małgorzata Knaś, kierownik Samodzielnej Pracowni Kosmetologii.

W tym roku na kierunek kosmetologia przyjęto 43 studentów. Władze uczelni zapowiedziały, że w przyszłym roku planują zwiększyć ich liczbę do 80. W roku akademickim 2012/2013 zostaną uruchomione studia magisterskie.

Zainteresowanie kosmetologią stacjonarną było duże. Gorzej było z rekrutacją na studiach niestacjonarnych. Podsumowując wyniki rekrutacji na uczelni, prof. Robert Flisiak stwierdził, że mógł być to efekt niewystarczającej promocji. Profesor Jerzy Ładny zasugerował nawet, że kadra naukowa UMB niejako przyczyniła się do tego, wspierając naukowo konkurencyjną uczelnię w mieście.

No cóż, nie pierwszy i nie ostatni raz UMB strzela sobie samobójczego gola.

Beata Jarmuszewska